

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w miejscu 1456·— Marek, z przes. 1482·— Mk. Półrocznie 2964·— Mk. Rocznie 5928·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp. 50

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 120 Marek.

Rok XIX. Kraków, 26 sierpnia 1922. Nr. 34.

Bandycki napad obok Rawy Ruskiej



Trzej konni bandyci, uzbrojeni w pałki, napadają na drodze leśnej do Chlebowczan na przejeżdżających kupców.

Bandycki napad obok Rawy Ruskiej.

(Do illustracyi tytułowej).

O stosunkach bezpieczeństwa publicznego w niektórych okolicach naszego kraju, pozostawiających tak wiele do życzenia, wspominaliśmy już niejednokrotnie na łamach naszego pisma, wyrażając nadzieję, że fatalne stosunki, wywołane następstwami wojny, raz przecież przestaną niepokoić opinię publiczną. Niestety, sytuacya z dnia na dzień, zamiast się poprawiać, pogarsza się stale, a najobfitszą rubryką pism codziennych stanowi kronika policyjna, przynosząca codziennie wiadomości o napadach bandyckich, dokonywanych z coraz to większą bezczelnością. Nie jest od nich wolne najbliższe sąsiedztwo wielkich miast, tak zwana „zapadła prowincya“ znajduje się w stokroć gorszem położeniu. Wschodnia Małopolska stanowi dla nieprzyjaciół cudzej własności prawdziwie „ziemię obiecaną“ grasują tutaj prawie bezkarnie całe bandy miejscowych opryszków, przybywają na gościnne występy różne męty społeczne z Zakarpacia, Bolszewii, a także i Lubelszczyzny, gdzie od lat szeregu trapiły ludność dobrze zorganizowane oddziały rabusiów. Policya ma tutaj trudne zadanie do spełnienia, musi bowiem zwalczać nie tylko zwykły bandytyzm, ale także i ruch polityczny, wrogi Polakom, a idący często ręka w rękę z pospolitym rozbojem.

O zuchwałym napadzie konnej watahy bandyckiej donoszą znowu z okolic Rawy Ruskiej. Oto w dniu 12. sierpnia b. r. na przejeżdżających wozem leśną drożyną między Rawą Ruską, a Chlebowczanami kupców Samuela Pressera i Berka Schragera napadło trzech konnych bandytów, uzbrojonych w pałki. Obu kupców poranili oni dotkliwie i zrabowali wiezione przez nich towary wartości sto kilkudziesięciu tysięcy marek, poczem zbiegli.

Rozpoczęte natychmiast za sprawcami napadu poszukiwania oddały w ręce policyi trzech młodocianych bandytów, mieszkańców sąsiednich wiosek, w osobach Michała Badana lat 20, Stefana Seniwa lat 17, oraz Stefana Manna lat 16.

Złoczyńcy nie ujdą rąk karzącej sprawiedliwości, los ich nie odstraszy jednak innych, dybiących na cudzą własność, a ufających w swą szczęśliwą gwiazdę i pobłażliwość sądów. Aby trapiącej kraj pladze kres położyć, powinno się wobec takich łotrów stosować całą surowość prawa bez jakichś okoliczności łagodzących.



Ze Związku Strzeleckiego: Odpoczynek strzelców po ćwiczeniach wysokogórskich w Tatrach.

Ze Związku Strzeleckiego.

Odbyty w dniach 5, 6 i 7 sierpnia b. r. równolegle ze Zjazdem Legionowym Zjazd Związku Strzeleckiego był wspaniałym przeglądem sił tej



Ze Związku Strzeleckiego: Grupa członków Komend i Zarządów Związku Strzeleckiego: Prezes Główny dr. K. Dłuski, Komendant Główny Wł. Malski, Komendant Okręgu Krakowskiego K. Harhat-Załuski, Kapelan Okr. Krak. X. R. Stojanowski, Referent K-dy Gł. Orwicz-Żyliński, Redaktor „Strzelca“ L. Zarzycki, Szef Wydz. Org. K-dy Okr. Krak. Jerzy Langrod, Komendant Placu Kraków J. Łonicki, Ref. Org. K-dy Obw. Kraków-Miasto L. Chorąży, K-dt. Okr. Lublin Wilk-Leśniak, K-dt. Okr. Kalisz, K-dt. Obw. Tarnów Fr. Styliński, Szef Wydz. Gosp. K-dy Gl. Moniuszko, Szef Wydz. Org. K-dy Gł. Broniewski, czł. Zarz. Gł. poseł Arciszewski, Oficer kwaterunkowy Zjazdu A. Krzetuski, Ref. Inf. Prasowy K-dy Okr. Krak. Witołd Langrod, K-dt. Obw. Miechów J. Koguciński, Ref. Wyszkol. K-dy Okr. Krak. Żędzianowski, K-dt. Obw. Lwów-Miasto Małaszyński, K-dt. Okr. Lwowskiego Szmał, K-dt. Obw. Kozienice Rakowski, Ref. Gosp. K-dy Okr. Krak. J. Paulli.

młodej, po wawrzyny starszej braci z r. 1914-go sięgającej organizacyi. Od roku 1914-go po raz pierwszy znowu miał Kraków sposobność na ulicach swych ujrzeć mundury strzeleckie i tradycyjne, skromne maciejówki, które w oku niejednego Krakowianina łzę wzruszenia wywołały. Przybyłe z całej Polski umundurowane, uzbrojone i karnie wyćwiczone oddziały postawą swą i dziarskością spowodowały, że Wódz Naczelny, Józef Piłsudski, po defiladzie w dniu 6 sierpnia na Błoniach, wyraził Związkowi Strzeleckiemu do rąk jego Komendanta Głównego p. Wład. Malskiego swe pełne uznanie i pochwałę.

Związek Strzelecki, nie popierany przez żadną partyę polityczną, a zwalczany przez kilka prawicowych za jego rzekomą, żadnymi faktami nie udowodnioną „lewicowość“, rozrósł się i osiągnął obecne stadyum siły i spoistości sam, własną jedynie pracą i wysiłkiem, torując sobie drogę do coraz szerszego uznania i zrozumienia ze strony społeczeństwa. Pomoc, okazywana tej, dla tak państwowotwórczych i ważnych celów pracującej organizacyi, ze strony władz cywilnych i wojskowych jest bardzo nikła, ogranicza się jedynie do wypożyczania tu i ówdzie broni i korzystania z technicznej pomocy wojska przy wyćwiczeniu i wyszkoleniu Oddziałów Strzeleckich. Ze strony wojska ani jeden oficer nie jest przydzielony jako taki do Związku, wszyscy oficerowie wojskowi są bądź oficerami rezerwy, bądź pracują w Związku w godzinach wolnych od wojskowych zajęć służbowych.



Ze Związku Strzeleckiego: W namiocie na Hali Gąsienicowej. Po prawej stronie dowódca Kursu wysokogórskiego, kapt. Harhat-Załuski.



Ze Związku Strzeleckiego: Pracownicy Komendy Okręgu Związku Strzeleckiego w Krakowie: Od lewego: Ref. Wyszk. Wład. Żędzianowski, Szef kanc. Bronisława Jędrzejowska, Kapelan Okręgu X. Roman Stojanowski, Ref. Kolportażu Janina Załuska, Komendant Okręgu Kazimierz Harhat-Załuski, Szef Wydz. Org. Jerzy Langrod. Fot. W. Langrod.

Intensywniejszy rozwój Związku Strzeleckiego w okręgu Krakowskim datuje się od kilku miesięcy. Na czele Zarządu Okręgowego stoi znany zaszczytnie ze swej służby w I. Brygadzie Legionów dr. Ryszard Kunicki, lekarz i poseł na Sejm, komendantem Okręgu jest Kazimierz Harhat-Załuski. Najbliższym naszemu miastu jest Obwód Zw. Strzel. „Kraków-Miasto“, na czele Zarządu którego stoi dyr. dr. Karol Krzetuski, komendantem zaś jego jest pułkownik Józef Olszyna-Wilczyński, znany Strzelcom Krakowskim krótko jako „Komendant Olszyna“, którego podobiznę zamieściliśmy niedawno. Oddziały Krakowskie zorganizowane są w ten sposób, że w osobnych kompaniach pełnią służbę robotnicy, rzemieślnicy, akademicy i starsi uczniowie szkolni. Związek Strzelecki posiada własne kooperatywy mundurowe i wydawnicze, zaopatrujące swych członków po tanich cenach w mundury strzeleckie i wydawnictwa ideowe.

Spodziewać się należy, że wkrótce całe bez wyjątku społeczeństwo zrozumie potrzebę i doniosłość istnienia tak ważnej organizacyi i że tak jak ongiś, cały Kraków znajdzie się w obozie Strzeleckim.

W numerze niniejszym podajemy fotografię z odprawy członków Zarządów i Komend Strzeleckich oraz dwa zdjęcia z zakończonego wcześniej kursu instruktorskiego w Tatrach.

Uczczenie Jubilata.

Piękną uroczystość obchodziła ubiegłego tygodnia lwowska Kapituła ormiańska: pięćdziesięcioletni jubileusz chlubnej, a owocnej pracy ks. Infułata i Prepozyta Kapituły ormiańskiej, Jakóba Moszory.

Ogromny szmat czasu, pół wieku wiernej służby na pełnym odpowiedzialności posterunku, pół wieku trudów i mozołów. Wymownem potwierdzeniem tych zasług był nader liczny zjazd. Z różnych stron kraju przybyli na tę uroczystość rodzina, krewni i znajomi, zjawili się w komplecie miejscowi parafianie w odświętnych strojach, by złożyć życzenia Jubilatowi i hołd półwiekowej jego pracy, by podziękować mu za wielekroć doznaną opiekę, uznając, że jest jednym z tych dziś nielicznych osobników co idą wytrwale i z całem oddaniem się i poświęceniem przez życie, czyniąc wszystkim dobrze.

Z dumą i zadowoleniem może dziś Czcigodny Jubilat spojrzeć w swą piękną przeszłość, a największą nagrodą i pociechą niech mu będzie poczucie dobrze i uczciwie spełnionego obowiązku wobec Boga i społeczeństwa oraz widok licznych jego wychowanków, zajmujących dziś wybitne stanowiska społeczne.

Po uroczystem nabożeństwie w Katedrze ormiańskiej i po dokonaniu przepisanych ceremonii kościelnych, przemówił Ks. Arcybiskup Teodorowicz w pięknych, a podniosłych słowach do Jubilata, podnosząc jego liczne zasługi oraz piękne



Uczczenie Jubilata: Jubilat Ks. Infułat Jakób Moszoro (x), Prepozyt Kapituły ormiańskiej we Lwowie pośród uczestników uroczystości jubileuszowej, zaszczyconej obecnością Ks. Arcybiskupa Teodorowicza (xx).



Rozwój harcerstwa na naszych kresach wschodnich: Stanisławowska V. drużyna harcerska im. A. Mickiewicza w obozie za Krechowcami.

i wzniosłe hasła, którym całe życie służył. W końcu oznajmił, że Ojciec św. nadesłał z Rzymu telegraficznie błogosławieństwo dla Jubilata.

Następnie odbyło się przyjęcie w salonach Kapituły, przy współudziale rodziny i szczerze oddanych Jubilatowi przyjaciół i podwładnych, zjednoczonych w hołdzie i czci dla zasług sędziwego Jubilata i z gorącem pragnieniem długiej jeszcze i owocnej pracy dla dobra rodziny, kraju i Ojczyzny.

Ad multos felicesque annos!

Rozwój harcerstwa na naszych kresach wschodnich.

Idea harcerstwa rozwija się coraz pomyślniej w naszym kraju. Ze sprawozdań z międzynarodowego zjazdu harcerzy, jaki się odbył niedawno w Paryżu, dowiedzieliśmy się, że Polska co do stanu liczebnego członków drużyn harcerskich jest trzeciem z rzędu państwem na świecie. Świadczy to dobitnie o zrozumieniu przez nasze społeczeństwo doniosłości idei harcerskiej, zrodzonej na Zachodzie i tam silnie rozkrzewionej.

Niejednokrotnie już wspominaliśmy w naszem piśmie o postępach harcerstwa w różnych okolicach ziem polskich, dziś przychodzi kolej na kresy wschodnie, w szczególności zaś na Stanisławów.

Rok zaledwie minął od chwili, jak zabrano się tutaj do zakładania drużyn harcerskich. Praca w tym kierunku musiała być prowadzoną energicznie i umiejętnie, a grunt był odpowiedni, skoro już po roku stanisławowskie harcerstwo wydało takie plony. Przekonujemy się o tem, zwiedzając Wystawę Szkolną w Stanisławowie, o której wspominaliśmy w poprzednim numerze naszego pisma. Siódma sala wystawowa w Szkole im. Królowej Jadwigi poświęconą była wyłącznie harcerstwu. Wystawione tutaj okazy świadczą chlubnie o wytrwałej pracy młodego pokolenia obojga płci i umiejętnem kierownictwie, które potrafiło ją skierować na właściwe tory, to jest, aby uczyć, bawiąc. Jak na jednoroczny przeciąg, dobytek tej pracy bardzo okazały, skromny wprawdzie i niewyszukany, ale bardzo różnorodny i z tych właśnie powodów przemawiający mile do oka i serca zwiedzającego. O lepsze idą tutaj ze sobą w zawody harcerze i harcerki, każda grupa w odpowiednim dla siebie dziale, z całokształtu zaś Wystawy wynieść się musi przekonanie, że rok ten nie poszedł na marne, a w rozwoju życia duchowego i fizycznego młodego pokolenia ważną odegra rolę.

Żałujemy bardzo, że nie możemy skorzystać ze wszystkich nadesłanych nam fotografii, na przeszkodzie jednak staje brak miejsca, niektóre zaś nie nadają się do reprodukcyi, z tych jednak, które zamieszczamy, wyrobić sobie musi Czytelnik pojęcie, jak seryo traktuje się tam tę na pozór małoznaczną sprawę, a przecież tak ważną dla wychowania młodzieży. Zasługa w tem i kierowników z pośród grona nauczycielskiego, którzy całem sercem oddali się sprawie i samej młodzieży, czującej dobrze, że to wszystko robi się dla jej dobra. Nowoczesna szkoła, kierująca się takiemi pobudkami, staje się w pełnem tego słowa znaczeniu szkołą życia, wychowującą młodzież na dzielnych obywateli kraju, uczących się od pierwszej młodości zamiłowania do pracy, systematyczności i wyrabiania w sobie siły moralnej i fizycznej do pokonywania napotykanych trudności.



Rozwój harcerstwa na naszych kresach wschodnich: V. drużyna harcerska buduje most nad Bystrzycą.

Stanisławowscy harcerze i harcerki tworzą już kilka pokaźnych drużyn, posiadają swą „Samopomoc“ do kształcenia się umysłowego, czas wolny od zajęć szkolnych spędzają na wycieczkach w piękne okolice i połączonych z niemi ćwiczeniach, pozatem pracują gorliwie w warsztatach, jednem słowem nie marnuje się ani jednej godziny bezcelowo.

Z pomiędzy eksponatów, jakie oglądano na Wystawie, wieś Pacyków wraz z fabryką porcelany, sporządzona z gliny, oraz szachy, zrobione z chleba, budziły ogólny podziw, nie mniej też wcale piękny zbiorek minerałów, ułożonych systematycznie, świadczący, że i podczas wycieczek korzystano z każdej sposobności, by kształcić także i ducha.



Rozwój harcerstwa na naszych kresach wschodnich: IV. drużyna harcerska w Stanisławowie im. E. Plater.

Lekarze poznańscy w uzdrowiskach Małopolski.

W połowie lipca br. zorganizowało Tow. lekarzy w Poznaniu wycieczkę do zdrojowisk i uzdrowisk małopolskich. Myśl w zasadzie była bar-

RENE BURES.

Zil=X...

30 Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Najsamprzód jaki wpływ mieć mogą, że się tak wyrażę bohaterowie tej pierwszej zbrodni, senator Poivrier, jego córka i ten nieznajomy? Czy rozumiesz, mój chłopcze, do czego dojść zamierzam? Nie. A więc, proszę zauważyć, że tylko senator i jego córka zostaną nadal wmięszani w tę sprawę. Trzeba przyjąć ten fakt jako dokonany, bo ty, mój chłopcze, nie wiesz tego, co ja wiem.

Przez cały ciąg śledztwa, aż do tej chwili, nie odnalazłem śladu tego nieznajomego. O tym nieznajomym, którego podobało nam się nazwać „Anglikiem", nie wiemy nic zupełnie. Znaleziono go w gabinecie senatora bez żadnego papieru w kieszeniach, o bieliźnie nieznaczonej, bez żadnego znaku, mogącego stwierdzić kim jest. Kula z browninga w głowie, oto wszystko.

A więc, mój chłopcze, wiedz o tem, że jeżeli stajemy wobec wypadku, który nie łączy się, nie powraca, nie przypomina w jakikolwiek sposób o biegu wypadków innych — należy go uważać za przypadkowy, i więcej się nim interesować nie należy.

A więc, odsuńmy na bok nieznajomego, wyłączmy go jako siłę działającą z faktu trzech zbrodni.

Był, zabito go, czy też sam się zabił może, był może świadkiem wielu rzeczy, ale skoro nie żyje, nic się od niego dowiedzieć nie możemy. — Czy nie tak?

— Oczywiście — przytaknął dosyć chętnie pan sędzia Giroux słuchając uważnie Igginsa.

— Teraz przejdźmy do faktów samych, to jest do trzech trupów znalezionych w gabinecie senatora.

Jak wyglądało miejsce zbrodni? Salon na parterze, o oknach otwartych — dom odosobniony — senator siedział we fotelu przed biurkiem, w gabinecie była jego córka, pani de Beaumont w porannem ubraniu.

Przypominasz sobie, mój chłopcze, że skonstatowano poderżnięcie gardła u senatora i śmierć, która nastąpiła z tego powodu, przed ugodzeniem go kulą sześciomilimetrową, która odpowiadała rewolwerowi znalezionemu przy pani de Beaumont. Wysnuć więc można z tego twierdzenie że nie pani de Beaumont zabiła ojca.

Nikt nie strzela do trupa, a tembardziej do swojego ojca. Pozatem nie można przypuszczać, aby kobieta wątła zadała cios tak silny, śmiertelny — tembardziej, że żadnych śladów walki w gabinecie nie znaleziono.

A więc pani de Beaumont nie strzelała do ojca. Strzelała oczywiście do kogo innego, a kula przypadkowo ugodziła senatora. Pani de Beaumont strzelała do mordercy swojego ojca, w obronie jego, będąc świadkiem ohydnego napadu.

Co dalej? Skoro pani de Beaumont zeszła do gabinetu ojca, w stroju nocnym — musiała być do tego spowodowaną szmerem jakimś, odgłosem walki, pomiędzy senatorem a mordercą. Zauważę jednak, że to cięcie brzytwą również mogło być zadane cicho, zręcznie przez człowieka bardzo silnego. Cóż więc w takim razie wpłynęło na zjawienie się pani de Beaumont w gabinecie ojca?

Jest jeszcze jedna rzecz, o której zapewne pomyślałeś mój chłopcze? Czy senator Pivrier sam sobie nie zadał tego ciosu, sam targnął się na własne życie? Na to, po zastanowieniu znalazłem odpowiedź jasną: można sobie odebrać życie podcinając gardło brzytwą — ale nie można równocześnie przeciąć sobie dwóch najgłówniejszych arteryi. Można je przeciąć kolejno, zmieniając położenie brzytwy, ale przecinając pierwszą, przecina się nerw najgłówniejszy, co powoduje śmierć natychmiastową.

A więc senator Poivrier nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowanym.

Dalej: Czy nie sądzisz mój chłopcze, że ten pierwszy fakt mógł się odbyć bez hałasu. Ten, który zabił senatora musiał mieć swoje powody, aby działać prędko i dyskretnie. Cóż więc przyciągnęło panią de Beaumont do gabinetu?

Tylko wystrzał z rewolweru.

Kto strzelał?

Morderca.

Czy mordercą był ów „Anglik" nieznajomy?

Któż więc jego zabił?

Czyżby Anglik zamordowawszy senatora i panią de Beaumont sam do siebie strzelił następnie?

Nie!

Nie mógł do siebie strzelić z rewolweru o innym kalibrze, a skonstatowano, że kula znaleziona w jego głowie większa była od tej, która wywołała śmierć pani de Beaumont.

A cóżby się wobec takiego faktu stało z dwoma pozostałymi rewolwerami — skoro znaleziono na miejscu zbrodni tylko rewolwer trzeci, z którego pani de Beaumont strzelała?

Nieznajomy więc nie jest mordercą. Przynajmniej nie był sam na miejscu zbrodni.

Któż więc zamordował senatora, córkę jego, i nieznajomego?

Morderca był jeden.

— Tak pan przypuszcza? — przerwał sędzia Giroux.

— Tak twierdzę — odpowiedział Iggins. Ktoś co idzie komuś poderżnąć gardło — oczywiście idzie sam, bez towarzystwa i chce uczynić jaknajmniej hałasu.

W gabinecie było osób cztery.

Senator, pani de Beaumont, nieznajomy i morderca.

Idźmy dalej. Ponieważ w gabinecie nie znaleziono browninga ośmiomilimetrowego, ani rewolwera dwunastomilimetrowego — ktoś je musiał zabrać stamtąd. Kto to mógł uczynić?

Tylko morderca.

Jak się to stać mogło? Zaraz ci to mój chłopcze wyjaśnię tak, jak gdybym był naocznym świadkiem zajścia. Doszedłem do tego łańcuchem przypuszczeń i dedukcyi, pracowałem ciężko — przyznaję, nagromadzałem najszaleńsze hypotezy, które rodziły inne, aż doszedłem do prawdziwej:

Ta prawda zaś, jest najmniej prawdopodobną, a jednak jest prawdziwą.

Senator Poivrier siedział przy swojem biurku, zajęty pisaniem. Człowiek jakiś wszedł przez okno otwarte. Nazwę go mordercą. Senator zobaczył go, ale nie wołał o pomoc. Dlaczego? Czy go znał? Czy też się go bał? Może uległ groźbie? Tego nie wiem. Senator z mordercą rozmawiał. Rezultatem tej rozmowy była napaść. Walki nie było. Senator nie ruszał się z fotela. Nigdzie śladu krwi w gabinecie, tylko przy biurku. Senator został ugodzony znienacka, w czasie rozmowy.

Morderca stał z boku, po za senatorem... Być może, że obydwaj odczytywali razem jakiś dokument ważny. Po otrzymaniu ciosu senator opadł bezwładnie na fotel, krew trysnęła aż na biurko.

W tej samej chwili — zaznaczam, że w tej samej chwili, bo szuflady biurka nie zostały nawet otworzone przez mordercę — zjawił się nieznajomy.

Wszedł również przez okno.

Miał przy sobie rewolwer, w kieszeni, pod ręką. Nieznajomy ujrzał drugiego człowieka obok tego, którego spodziewał się zastać samego. Morderca zaskoczony wystrzelił. Nieznajomy wystrzelił również. Strzelili do siebie równocześnie.

Kula nieznajomego nie doszła do celu, wyleciała oknem, w ogród. Kula zaś mordercy ośmiomilimetrowa ugodziła nieznajomego w samo czoło. Upadł nieżywy na dywan.

Morderca wówczas zbliżył się z rewolwerem w ręce do niego. Musiał on tu mieć coś bardzo ważnego do uczynienia, skoro był na tyle nieostrożnym, iż nie uciekł po odgłosie tych wymienionych strzałów, które mogły przywabić kogo z domowników. Może chciał się tylko przekonać o identyczności tego, którego zabił.

Zbliżył się do zwłok i obejrzał je. Nieznajomy nie dawał już znaku życia. Morderca wówczas włożył do kieszeni rewolwer, swój ośmiomilimetrowy: Poczem pochylił się, podjął rewolwer przeciwnika i obejrzał go.

W tej chwili wbiegła odważnie do gabinetu pani de Beaumont, zbudzona odgłosem strzałów. Ale morderca już musiał wówczas zbliżyć się do biurka, do zwłok, leżących w fotelu. Stał on bowiem przy zwłokach senatora w chwili, kiedy pani de Beaumont wystrzeliła do niego.

Ale strzał pani de Beaumont nie był celny. Kula przeszła obok niego i fatalnym zbiegiem okoliczności ugrzęzła w trupie senatora Poivrier. Przeszła przez oko do mózgu.

Równocześnie morderca, który trzymał w ręce rewolwer nieznajomego, wystrzelił, kładąc trupem na miejscu panią de Beaumont. Ten morderca strzelał dobrze i pewnie. Kula trafiła w czoło panią de Beaumont. Rezultat tego wszystkiego, mój chłopcze: Trzy kule różnej wielkości w trzech głowach, jeden rewolwer na dywanie i dwa rewolwery w kieszeniach czwartej osoby, która spokojnie odeszła oknem.

* * *

Tę pierwszą część przemowy Igginsa wysłuchaliśmy wszyscy w pobożnem milczeniu. Nawet pani Markas otarła łzy i przestała płakać.

Kiedy Iggins umilkł, pan Giroux poruszył się niespokojnie w swoim olbrzymim fotelu i zaczął bębnić po stole, wymawiając machinalnie:

— Tak, tak, moi panowie.

Iggins po chwili westchnął potężnie, założył nogę na nogę i dalej mówić zaczął:

— A więc, mój chłopcze, morderca nie miał tu już nic do roboty i odszedł sobie. Odszedł, jak wiecie, ogłuszając uderzeniem rewolweru służącego.

— Uderzeniem rewolweru? — zdziwił się się pan Giroux.

— Tak, oględziny wykazały, że rana zadana służącemu, pochodziła od rączki rewolwera.

— Odszedł, nie pozostawiając ani śladu po sobie.

— Czy zabrał co ze sobą?

— Na to odpowiedzieć nie mogę. I ty, mój chłopcze, także byś nie mógł dać odpowiedzi. Na miejscu zbrodni czynili poszukiwania jeszcze inni niż my. Ajenci z policyi.

Nie należy dalej zapominać, że senator Poivrier był ministrem spraw zagranicznych. Ale o papierach jakichkolwiek, dokumentach znalezionych w biurku, wiemy tylko to, co nam policya była łaskawa powiedzieć.

Co do mnie, myślę, że morderca nic nie zabrał ze sobą.

— Dlaczego?

Bo to, czego szukał, to, co prawdopodobnie chciał wymódz na senatorze groźbą podczas rozmowy — było pod dobrem zamknięciem.

Wiemy, że zamki kasy ogniotrwałej i biurka nie były naruszone.

Widocznie więc morderca nie śmiał, lub też nie miał czasu naruszyć ich, poszukać tego, czego szukał i zabrać ze sobą.

Przeląkł się nagle rezultatów, jakie mógł wywołać odgłos strzałów i uciekł.

Druga zbrodnia.

— Na tem kończy się zbrodnia pierwsza — mówił flegmatycznie Iggins.

Druga zbrodnia popełniona została w dwa dni później. Żaden fakt pozornie nie łączy ją z tamtą, śladów trzeba było szukać na innej drodze, różnej zupełnie.

Można to sobie doskonale wytłómaczyć.

Morderca uciekł nie pozostawiając żadnego znaku za sobą jak już mówiłem — jakże więc można było iść za jego śladem, gdyby nie nastąpiło to drugie wydarzenie. Tą drugą zbrodnią, tym drugim aktem tajemniczym trzech zbrodni — to zabójstwo kapitana de Limandoux w willi jego Bry-sur-Marne.

Zanotujmy tylko ten fakt, który już wiąże te dwie zbrodnie ze sobą. Kapitan de Limandoux był narzeczonym panny de Beaumont, córki pani de Beaumont zamordowanej dwa dni przedtem, wnuczki zamordowanego również senatora Poivrier.

Słuchaj mój chłopcze. Nie będę tracił czasu na niepotrzebne wyjaśnienie — dojdę najkrótszą drogą do rzeczy prawdziwych, nie analizując faktów.

Wiecie, co mnie najwięcej uderzyło w zabójstwie kapitana de Limandoux? Muszę zaznaczyć, że zbadałem bardzo dokładnie tę willę kapitana. Poszedłem tam, aby lepiej zrozumieć całą sprawę, aby lepiej pojąć zdarzenia, które się tam rozegrały.

I oto co mnie uderzyło najwięcej. W dwa dni po potrójnej zbrodni dokonanej w willi „Bzów", kapitan de Limandoux zostaje zamordowanym.

Zostaje zamordowanym, w warunkach bardzo trudnych, w domu zamieszkanym — ale nie zostaje okradzionym.

I w jaki sposób zamordowanym zostaje?

Trzema wystrzałami rewolweru. Strzały wydane z bliskości w domu gdzie są ludzie.

Oh! tym razem to jasne! Morderca wcale się nie troszczył o to, czy będzie słyszanym!

A dlaczego?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wilia mojego ślubu.

NOWELA.

Było to w wilią mojego ślubu. Słońce wspaniale chyliło się ku zachodowi, a moja narzeczona, córka naczelnika sąsiedniej stacyi kolei wyszła wraz ze mną do ogródka otaczającego przyszłe „nasze" mieszkanie. Patrzyliśmy oboje z zachwytem na płonącą tarczę słoneczną, która oblewała gorącem światłem cały widnokrąg i zdawała się przenikać ciekawem okiem aż w najtajniejszą głębię czarnego boru, graniczącego z budynkiem stacyjnym. Mimowoli spojrzałem na wiotką postać mojej towarzyszki, w różowo złocistych odblaskach wieczoru wyglądała jak cudowne, urocze zjawisko. Nagle spokojny i wesoły wyraz jej twarzy uległ przemianie. „Edwardzie" zawołała z głębokim odcieniem smutku „Edwardzie, ja się boję o ciebie!" — „Dlaczego moja najdroższa!" zapytałem spokojnie. „Wiesz, nie mogę zapomnieć tej ogromnej przesyłki pieniężnej, którą ty dzisiaj przez noc masz przetrzymać".

Roześmiałem się swobodnie. „O jeźli o to tylko chodzi" odparłem „możesz być najzupełniej spokojną Olusiu, wszak to nie pierwszy raz się zdarza, umiem się zabezpieczyć przeciw wszelkim wypadkom". Olusia poruszyła główką z powątpiewaniem. „Pomyśl mój jedyny" dodała nieśmiało „że po odejściu ostatniego pociągu, który mnie i ojcusia stąd zabierze a pieniądze przywiezie, służba się rozejdzie a ty zostaniesz sam jeden, zupełnie sam jeden, wśród tego głuchego boru". Słowa narzeczonej zrobiły na mnie dziwne wrażenie, podobne do niejasnego przeczucia, ale usilując zapanować nad sobą odparłem krótko: „Tem lepiej dla mnie, niebezpieczeństwo tylko ludzie ze sobą przynoszą". Moja narzeczona zamilkła, była zawsze tak cichą i małomówną a wobec mnie tak anielsko uległą ale wyraz smutku nie ustąpił z jej delikatnych rysów. Po chwili podniosła na mnie łzami zalane oczy i zawołała zarzucając mi białe rączki na szyję: „Nie słuchasz mnie, ale ja uprzedzę cię o niebezpieczeństwie i obronię cię" zawołała z gorączkowym zadałem, który mnie na seryo przestraszył. „Olusiu, Olusiu" zawołałem z wyrzutem serdecznym. „O mój najdroższy, mój jedyny, nie gniewaj się na mnie, ja cię tak kocham, a jutro dzień naszego ślubu, im bliższe szczęście tem większy niepokój mnie ogarnia. Ach gdybym ciebie utracić miała!" I to mówiąc rozpłakała się znowu. Starałem się uspokoić jej obawy i przeczucia, ale i mnie one dotknęły niemile i zdenerwowały do tego stopnia, że pożegnawszy moją narzeczoną i jej ojca, bezwiednie prawie poddałem się uczuciu niewypowiedzianego smutku i pełnej boleści tęsknoty. Wesoły obraz przyszłości przesłonił się łzawą gazą niepokoju i ta jedna chwila wystarczyła mi, aby poznać ile ją kochałem i jak wielkim był jej wpływ nademną.

Zajęty sobą nie zauważyłem nawet, że jakiś niemłody jegomość dotąd stał na peronie obok ogromnej skrzyni dębowej, z którą zdawał się niewiedzieć co począć. Nareszcie zdecydował się, przystąpił do mnie i po wielu ukłonach prosił mnie o pozwolenie umieszczenia swego pakunku w sali pasażerów przylegającej do mego pokoju, w którym właśnie przed kilku minutami złożyłem powierzone mi na noc pieniądze. „Czy pan nie możesz tej skrzyni zabrać ze sobą? spytałem niechętnie. „Nie panie" odpowiedział zapytany „w żaden sposób, bo jak pan widzisz nie jest to skrzynia, ale trumna w której wiozę zabalsamowane zwłoki mojego ojca, a z takim gościem, dodał z boleścią, nie przyjmą mnie w żadnym hotelu. Zmiłuj się pan nademną i racz zezwolić na moją prośbę" dokończył tak żałośnie, że nie miałem już serca odmawiać mu dłużej. „Jutro rano zgłoszę się tutaj" dodał żegnając mnie.

Po odejściu ostatniego z gości obszedłem cały budynek kolejowy, pozamykałem starannie wszystkie wejścia, odprawiłem służbę i przeszedłem do swego pokoju. Tu obejrzałem broń, którą zawsze na każdy wypadek miałem nad łóżkiem, poczem usiadłszy przy biurku, zabrałem się do uporządkowania pewnych potrzebnych mi papierów. Z początku zajęty pracą, nie zwróciłem uwagi ani na bliskie sąsiedztwo nieboszczyka, ani na słowa mojej narzeczonej, ani na samotność, w której się znajdowałem, zapomniałem chwilowo o wszystkiem. Skończywszy otworzyłem okno i spojrzałem w ciemną dal. Noc była bez promyka światła, księżyc i gwiazdy ukryte za gęstemi chmurami, a głuchy bór szumiał tak uroczyście i tajemniczo, że stałem jak przykuty pod dziwnem, pełnem wspaniałej grozy wrażeniem. „Kocham cię, kocham nad życie" zabrzmiały mi w uszach słowa Olusi i cały rój marzeń barwnych i ponętnych zapełnił moją skromną izdebkę naczelnika stacyi, gdyż byłem wówczas naczelnikiem jednego z najmniejszych przestanków na naszej linii. Widziałem śliczną, kochaną dziewczynę, która jutro miała zostać moją żoną, słyszałem jej szczebiot wesoły i kapryśny czasami a czasami pełny rzewnej powagi i smutku. Dziwne to było dziewczę; córka niebogatych rodziców, wychowana skromnie i w pracy, a przecież była delikatną i nerwową jak księżniczka i nieraz miewała przeczucia. Byłem wówczas tak naiwnym, że wyrafinowaną delikatność uczuć i ciała uważałem prawie jedynie za wyłączny przywilej klas najwyższych, czyli tak zwanej arystokracyi. Olusia w mojem mniemaniu była wyjątkiem z ogólnej reguły, była tak smukłą i wątłą jak młoda brzózka, a każdy ruch jej był powabny i miękki. Teraz właśnie stała przedemną w zwykłej niedbałej postawie i patrząc na mnie z uśmiechem mówiła harmonijnie zniżonym głosem: kocham cię, kocham nad życie, ale się boję o ciebie, jesteś sam!" Wsłuchiwałem się chciwie w czarowną melodyę pieśni mojego szczęścia, gdy w tem szalony wicher zachwiał wierzchołkami drzew, uderzył z dźwiękiem w szyby otwartego okna i gwałtownie wpadł do pokoju. oblewając mnie strumieniami chłodnego powietrza i mgły nocnej. Wychyliłem się przez okno, usiłując je zamknąć, a wtedy wydało mi się, że usłyszałem leciutkie gwizdnienie, lecz biorąc to za złudzenie pospuszczałem zasuwki okiennic i postanowiłem położyć się ua spoczynek. Wiszący naprzeciwko biurka zegar wydzwonił właśnie 3 kwadranse na dwunastą. Zadrżałem, licząc machinalnie uderzenia, a przy ostatniem przyszły mi znowu na myśl pełne czułości wyrazy mojej narzeczonej. „Edwardzie, ja się boję o ciebie." „Godzina duchów się zbliża, a ja jestem sam zupełnie sam, w sąsiedztwie nieboszczyka" — szepnąłem i usiłowałem się uśmiechnąć jak wówczas, gdy mówiłem z Olusią. Eteryczna przędza moich marzeń przedślubnych splątała się i nie byłem już w stanie zapanować nad fantazyami, które coraz bezładniej i chaotyczniej krążyć zaczęły po mojej głowie. Wszystkie przesądy i zabobony, złe wróżby i czary, o których nasłuchałem się w dzieciństwie od nianiek i sług, odświeżyły się w mojej pamięci i spotęgowane ważnością chwili i niezwykłem otoczeniem przybrały pozory rzeczywistości. Zdawało mi się, że jakieś nowe, ludzkiemu oku niewidzialne życie budzi się w około mnie, że jestem wtrącony sam i bezbronny w jakiś wir bezdenny, rzucający mną jak marnym pyłkiem. Głowa mi płonęła, włosy zjeżyły się na głowie a powieki ciężyły jak ołów. Znużony bezowocną walką, z żywiołem, którego potęgę uczułem po raz pierwszy w życiu, rzuciłem się na fotel i po chwili usnąłem.

Nie wiem jak długo spałem, pamiętam tylko, że miałem sen jakiś przykry, w którym wszystkie wrażenia odebrane w ciągu dnia zmięszały się w obraz pełen fantastycznej grozy. Widziałem trumnę otwartą, a powstający z niej nieboszczyk godził ostrym sztyletem w prost w serce mojej biednej Olusi, która blada jak marmur wyciągała drobniutkie rączki z prośbą o litość. Chciałem krzyknąć i skoczyć jej na ratunek, lecz nieopisane jakieś uczucie przykuwało mnie do ziemi gdy nagle obudziło mnie znane mi uderzenie klucza telegraficznego zapowiadające baczność. Zerwałem się na równe nogi i półsenny jeszcze stanąłem przy aparacie by odebrać depeszę. Telegrafowano z sąsiedniej stacyi, złożyłem litery pisma i włosy powstały mi na głowie, donoszono wyraźnie: „uważaj na trumnę". Przetarłam oczy sądząc, że jestem jeszcze pod wpływem snu strasznego i obejrzawszy się trwożnie do koła usiadłem na dawnem miejscu usiłując usnąć raz jeszcze. Zaledwo zamknąłem oczy ujrzałem znowu Olusię, tym razem szepnęła tylko, „gdyby było niebezpieczeństwo ja cię ostrzegę i obronię" i znikła.

Wyciągałem ręce by ją zatrzymać gdy wtem uderzenia klucza powtórzyły się, tylko dobitniej niż poprzednio i jak gdyby z rozpaczliwą energią. Jak lunatyk pod wpływem światła księżyca, tak ja machinalnie poruszyłem się w kierunku stolika i odebrałem znowu dosłowne powtórzenie pierwszej depeszy z dodatkiem podpisu: „Uważaj na trumnę — Olawia". Wydało mi się, że jestem igraszką okropnej hallucynacyi, czułem że trzęsę się jak w febrze, a pot kroplami spływa mi po zziębniętem czole. Zarazem usłyszałem dziwny jakiś szmer w salce gdzie spoczywał nieboszczyk, zdawało mi się, że wieko dębowej skrzyni zaskrzypiało z lekka. Ta drobna okoliczność oprzytomniła mnie nadspodziewanie, machnąwszy ręką jak gdyby dla odpędzenia resztek prześladujących mnie przywidzeń, wybiegłem do komórki przypierającej do mego pokoju i wyniosłem stamtąd cztery ogromne bretnale, młotek i gruby sznur konopny. Tak uzbrojony przyszedłem do salki, gdzie trumna stała zupełnie spokojnie. Pędzony dziką prawie instyktową odwagą zbliżyłem się do niej, a chociaż mrowie strachu i przesądu wstrząsało mną jak trzciną usiadłem na wieku i zabrałem się rezolutnie do wbijania gwoździ, co uskuteczniwszy zacząłem obwiązywać trumnę sznurem dla bezpieczeństwa. Zaledwie skończyłem tę operacyę zegar wybił godzinę dwunastą, a równocześnie z głębi trumny odezwał się grobowy i stłumiony jęk nieboszczyka. Sztuczna odwaga odstąpiła mnie w tej chwili, uciekłem co prędzej do mego pokoju a wbiegając spojrzałem przypadkowo w lustro. Byłem blady jak ściana a wyraz przestrachu tak mnie zmienił i oszpecił, że z trudnością poznałem własne rysy. Zdobyłem się zaledwo na przytomność zatelegrafowania do ojca mojej narzeczonej, by wysłał kilku ludzi na pomoc, bo przeczuwam niebezpieczeństwo tem gorsze, że nie wiem skąd na mnie spadnie. Wyczerpany tym ostatnim aktem woli i przytomności rzuciłem się na kanapę i chwilkę przeleżałem jak martwy usiłując zebrać myśli i zdać sobie sprawę z rzeczywistości, odrzuciwszy to co było sennem marzeniem. Na klucz telegraficzny patrzyłem z rodzajem zabobonnego strachu jakoteż na kartkę na której spisałem tajemnicze ostrzeżenie. Byłem z natury odważny i spokojny, a przecież walka z mistyczną potęgą własnej wyobraźni była nad moje siły, upadłem ze znużenia, głowa mi ciężyła, nogi odmawiały posłuszeństwa a przecież nie wolno mi było spocząć, bo niebezpieczeństwo uchylone na razie mogło powrócić za chwilę w postaci jeszcze groźniejszej.

I rzeczywiście wróciło, w pół godziny może usłyszałem ciężki chód kilku ludzi, wpadających do sieni z okrzykiem: „A co, czy już gotów? Gdzie są pieniądze?", poczem nastąpiło energiczne dobijanie się do drzwi. Zrozumiałem wszystko i czując całą trudność sytuacyi, zatelegrafowałem znowu o pomoc, na co odpowiedziano, że takowa nadejdzie natychmiast, gdyż przed 5ciu minutami pociąg nadzwyczajny wysłano. Od stacyi do stacyi było oddalenie 30 minut, zatem miałem wytrzymać oblężenie jeszcze przez minut 25. Na całą obronę miałem 2 rewolwery sześciostrzałowe. dubeltówkę i szablę. Uzbroiwszy się, przeszedłem do salki, po której oknami opatrzonemi na szczęście w silne kraty, zgromadzili się rozbójnicy, chcąc ocenić jak rzeczy stoją. O ile w ciemności rozróżnić mogłem, było ich czterech chłopów silnych jak dęby, spostrzegłem także, że byli bezbronni. Widocznie przybyli nie w zamiarze walki, ale aby zabrać pieniądze. Patrzyłem na nich badawczo, zdawali się być zakłopotani i niepewni, nareszcie jeden z nich, w którym poznałem owego jegomościa z peronu, rozkazał im pójść do wozu po siekiery i drzwi wyłamać. Oprócz tego usłyszałem teraz wyraźnie, że mój nieboszczyk rzuca się w trumnie jak szczupak na wędce i uniesiony złością głośno przeklina. Roześmiałem się szyderczo i ja bezsilny wobec marnych urojeń, wobec rzeczywistego niebezpieczeństwa, odzyskałem całą sprężystość i postanowiłem bronić się do upadłego. Wszak tu chodziło o moje życie i o szczęście Olesi. Jednak łudzić się nie mogłem, niebezpieczeństwo zbliżało się z każdą chwilą; siekiera jest straszną bronią w ręku wprawnego człowieka, wiedziałem o tem aż nadto dobrze. Niebawem usłyszałem pierwsze cięcia, a drzwi jęknęły pod naciskiem: „Nie tak to łatwo, jak się wam zdaje!" zawołałem „drzwi są dębowe i okute." Rozbójnicy nie odpowiedzieli ani słowa, lecz ponowili cięcia. Ta niema, a pełna siły protestacya doprowadziła mnie do wściekłości, uczułem coś nakształt pragnienia, aby drzwi uległy co prędzej pod naciskiem szturmujących, chciałem walczyć z nimi w otwartym boju, oko w oko, ręka na rękę. (Dokończenie nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

20)

A w tym mącie głosów, tętniących w myślach Piotra, odzywał się niekiedy wyraźny, acz przedziwnie daleki, głos Edwarda:

— Człowieka brak... człowieka!

Męczył się Piotr Nelin strasznie. O własne pięści kurczowo zaciśnięte tłukł wysokie czoło, a wargi zagryzał do krwi.

— Co będzie?! co dalej będzie?

I naraz ocknął się. Spojrzał przed siebie. Wśród pomroki jaśniała twarz Maryi, wpatrzona w niego szeroko otwartemi oczyma.

— Nie śpisz — zapytał.

— Nie mogę...

— A jabym czasem chciał... bardzo bym chciał zasnąć... i zbudzić się... aż kiedyś... gdy cały wiek przeminie...

— Tyś, Piotrze, jeden wiek przespał... i zbudziłeś się w nowym bycie...

— Tak, prawda, prawda. Ja już taki potop krwi oglądałem żywemi oczyma... a potem, powiadasz, spałem...

— Gdyby to, Piotrze, wiedzieć, jak ten sen wygląda... ten długi sen wiekowy, co dzielił ów czas, kiedym tobie gemmę dała na pożegnanie... od tego znów czasu, gdy gemma, ożywszy, męczy się... przebudzona.

— Co tobie, Maryo? co tobie? ty się bardzo męczysz.

— Strasznie.

— Widzisz... męczymy się wszyscy.

— O nie, Piotrze, nie! wy wszyscy inne macie życie... jeno ja tak skazana na mękę kamienną... jak ta twoja gemma...

Piotr rękę wychylił ku niej i po włosach przesunął. Marya oczy przymknęła. Piotr palcami wodził po jej czole, a pod jego czaszką myśli wirowały, jak gdyby gwiazdek jasnych miliony poprzez ciemne otchłanie bytów.

Różyczka stanęła nad nim.

— Piotrze... Piotrze! — wołała. Lecz Nelin nic nie słyszał.

— Zbudź się... zbudź się — powtarzała.

Ocknął się Piotr.

— Ktoś ty? — szepnął jak w obłędzie.

— Ty mnie pytasz... a nie wiesz ty... kto ty jesteś...

— Nie wiem... kędyś zagubiłem się... zapodziałem... i sam się odnaleźć nie mogę.

— Piotrze, nie zasypiaj... Nie czas tobie na nowy sen... My wszak mamy iść dalej razem.

— My — drgnął Piotr. — Kto?

— Razem! — głos mu powtórzył nad uchem mocniej.

— Z kim?

— W życie...

— Ale z kim? dokąd i poco?

— Nie upadaj, Piotrze... dźwignij się...

Zerwał się Nelin z miejsca, otrząsnął.

Głowa Maryi zsunęła się na jego piersi. Uniósł ją i obudził.

Mrok był wokoło. Noc zgniła, przejmująca do kości.

Nelin wstał, zostawiając Maryę i zaczął chodzić szerokiemi kroki dokoła automobilu.

Marya zasnęła.

Zbudziła się Iza. Wstała, podeszła do Piotra i zatrzymała go.

— Zygmunt mi mówił tej nocy, że upadasz na duchu, mój Piotrze.

— Podniesś mnie — szepnął.

— Tak, Zygmunt mi mówił, że ci bardzo potrzeba pomocy.

— Ty mi nie daj upaść.

— Bądź mocny, Piotrze, bo mnie Edward ostrzega, że chwila nadeszła, w której podupadać nam nie wolno.

— Co powiadasz... co? czekaj... — zaraz... niech sobie przypomnę.. Już mi tej nocy ktoś kazał nie upadać... nie zasypiać, gdy ja tak pragnąłem zasnąć... i wiek przespać, by na tę mękę świata nie patrzeć... i wraz z narodem moim nie zapadać w trzęsawisko...

W tej chwili Alferow, zbudziwszy się, przywołwał ich ku sobie.

— „Ojcze, bądź mocny" rzekła mi Klaudya przed chwilą. Rozumiecie? Rozumiecie!?

— Coś się dzieje...

— Coś się staje...

— Czeka nas coś, prawda, Izo?

— Spokoju, spokoju... wszak Oni są z nami.

— A ty, Izo, jesteś między nami — Piotr dodał. — Więc możemy być spokojni.

Rozbudzono Janka, przygotowano się do dalszej podróży.

O świcie wypadła im droga pomiędzy lasem a jeziorem. Kołowali długo i nigdzie wybrnąć nie mogli z bezdroży. Więc trzeba się było zdecydować przejechać nieopodal mieszkań ludzkich bardzo niegdyś licznej osady fabrycznej, w której dziś dawno życie zamarło.

Chcieli pędzić, jak wicher przelecieć mimo siedzib ludzkich, o wczesnej porze, kiedy może spać jeszcze będą. Niestety, fatalny stan drogi zmuszał do jazdy powolnej.

Do gorsza jednak, wyjechawszy z poza lasu, ujrzeli naraz gęsty tłum ludzki nad brzegiem jeziora, właśnie tam, kędy im wypadała droga.

Już się cofnąć nie dało. Trzeba się było odważyć przejechać.

Z konieczności jechali stępa, nie tylko przez wyboje, ale i przez plączące się po gościńcu cienie ludzkie.

Nad brzegiem wielkiego, czarnego jeziora odprawiało się jakieś nabożeństwo. Wyglądało tak, jakgdyby te modły nad wodą całą noc już trwały, i może miały się ku końcowi.

Tłum mało zwracał uwagi na przejeżdżające auto, więc przedostali się nareszcie na drugą stronę ciżby, przez nikogo nie nagabywani — gdy naraz maszyna utknęła.

To dopiero skierowało oczy bliżej stojących na samochód i podróżnych. Kilkoro ludzi oderwało się od tłumu i zbliżyło do turkoczącego głośno jeszcze w miejscu motoru.

Podróżni nie chcieli nikogo o nic pytać. Zachowywali milczenie. Janek zaś z pomocą Alferowa jął śpiesznie majstrować przy aucie, by co prędzej można było z miejsca uciekać.

A wtem w ciżbie skupionej nad brzegiem, coś ryknęło... i za chwilę można było wyrozumieć, że cała rzesza uderzyła w wielki płacz, nad którym zrywały się chwilami jakieś ekstatyczne wołania duchownego... to znowu czyjeś łkania wydzierały się przeraźliwie... czyjeś jęki zgrzytem zakłócały chorał szlochów.

Piotr nie zdzierżył.

— Głód u was wielki — zagadnął wyrostka, z trudem trzymającego się na nogach tuż przy aucie.

— Umyślili — odparł chłopak — potopić się gromadnie.

Iza zatrzepotała jak ptak, znienacka postrzelony. Marya wybuchła spazmatycznym płaczem.

Piotr jął rozpytywać wyrostka, ale krzyki zgromadzenia nad jeziorem tak się wzmogły, że nic nie było słychać słabego głosu odpowiedzi chłopca.

— Potopić się... potopić — brzmiało kilkakrotnie.

A wtem właśnie jakiś ruch niesamowity ogarnął ciżbę ludzką.

Alferow z Piotrem stanęli na siedzeniach samochodu, by lepiej widzieć. Marya zaś, łkaniem wstrząsana, leżała na piersiach Izy, która oczy przymknąwszy, coś szeptała spieklemi wargami.

Krzyki nieludzkie rozdzierały powietrze.

Z oparów nocnych nad jeziorem wstawało słońce — niby krwawa plama, błotną rzęsą zasnuta.

Ciżba malała. Ludzie z gościńca znikali.

A tylko czarne, ponure zwierciadło ogromnego jeziora pod lasem kołysało się na wielkiej przestrzeni i woda bryzgało w górę.

Piotr z Julianem, ledwie wyszli patrzeć, już zsunęli się w dół... Z głowami na łokciach opuszczonemi siedzieli jak martwi.

Wtem od strony jeziora podszedł jakiś ryży człowiek do automobilu i przyglądał się uważnie. Nikt go nie zauważył prócz Janka. Ten zaś, spostrzegłszy go, zmięszał się wyraźnie — i co rychlej nachylił się pod maszynę, by dalej pracować, dobrze nią zasłonięty.

Lecz ów człowiek obszedł auto dokoła i naraz rękę wyciągnął ku Jankowi, w mocną łapę chwycił kołnierz futra i dźwignął młodzieńca w górę.

Obruszył się Janek. Lecz w tej chwili ciężka łapa zdarła mu z głowy maskę ochronną z okularami automobilisty.

— Poznałem cię, to ty, zbiegu! Poczekaj... z kim to ty uciekasz?

Alferow i Nelin stali gotowi na wszystko.

Ów napastnik zażądał papierów. Przyjrzał się legitymacyom, a potem brutalnie zaglądał po kolei wszystkim pod maski.

Wreszcie zakonkludował:

— Stać w miejscu!

Zaszedł z tyłu i błyskawicznie z rewolweru wpakował Jankowi kulę w kark.

Młodzieniec się zwalił z nóg.

Alferow runął na niego z krzykiem, lecz zbir oderwał przemocą ojca od trupa syna i wtrącił go z powrotem do wnętrza pojazdu.

Przy nich w tej chwili stało już kilku żołnierzy. Jeden zaś z nich oglądał auto, by sprawdzić, co jest do naprawy.

Zdecydowano po naradzie, że maszynę nie prędko da się ruszyć z miejsca.

Żołnierze zatem pozdzierali z podróżnych prawie wszystko, co na nich było, poskładali to w pojeździe, skrępowali tak rozdzianych ze sobą — Piotra z Izą, Juliana z Maryą — i pognali ich przed siebie, gdy inni zostali na straży przy cennej zdobyczy.

Pędzono więźniów ciągle ponad stawem, po którego powierzchni pływały sine ciała topielców z sąsiednich wsi głodnych.

Na drugim brzegu jeziora przystanęli przed budką szyldwacha.

Przed nimi leżało całe miasto baraków.

Czekali przez dłuższą chwilę, aż przyszedł ktoś starszy i furtę otworzył w płotach z drutów kolczastych.

Wpuszczono ich w obręb obozu i zapędzono do baraku, stanowiącego kancelaryę.

Do jakiejś komórki wepchnięci, czekali niedługo. Wywołano ich na śledztwo.

Weszli do większej izby, a tam wyszedł ku nim ów ryży zbir — morderca Janka — z długim harapem w ręku i przywitawszy ich plugawem słowem, jął po kolei ćwiczyć ich ciała pletnią z kolcami — aż krew tryskała.

XIX.

Kiedy podczas śledztwa zapytał ryży zbir Alferowa, kim jest, Julian podniósł na niego oczy, wpatrywał się przez długą chwilę milczenia w jego odrażającą twarz dziobatą, piegami obsypaną i ognistym zarostem obwiedzioną, w jego małe oczka siwe, zezem patrzące i wreszcie odpowiedział:

— Jestem ojcem młodego człowieka, któregoś zastrzelił.

Zbój rzucił się ku niemu, ułapił za ramiona, wstrząsnął mocno i pchnął od siebie tak, że się Julian pod ścianę zatoczył, lecz Piotr go powstrzymał od upadku.

Ryży zaś jeszcze za nim poskoczył i w brzuch go kopnął.

Piotr nie dał żadnej odpowiedzi na pytania. Stał wyniośle, przeszywając błyskawicowemi spojrzeniami nikczemne oblicze swego marnego sędziego, a z karku cieniutka struga krwi spływała mu bez przerwy.

Ryży niecierpliwił się tem milczeniem Nelina. Wreszcie tupnął nogą w dziurawą podłogę, zapowiadając, że mu każe wsadzić sto batów, jeżeli się nie odezwie.

Piotr odwrócił się od stołu, przed którym stał i w milczeniu odszedł z powrotem w kąt izby, gdzie stali jego towarzysze. Ale zbój na widok krwi na karku Piotra z zadanej jego harapem rany, wpadł w pasyę, złapał z kąta pod ścianą karabin i zamierzywszy się kolbą na rzeźbiarza, już miał go ugodzić, gdy między nim a Piotrem stanęła Iza.

Posunęła się tylko jednym krokiem przed siebie i pełna dostojeństwa bladą twarz matową podniosła na napastnika.

On spojrzał w jej oczy zielone swemi siwemi ślepkami i cofnął się. Karabin odrzucił pod ścianę i pięściami pogroził w stronę Piotra.

Wrócił do stołu, zaczął się przypatrywać Izie, bez ruchu stojącej z plamami czerwonemi na całem odzieniu od krwi z ołowianych guzów i żelaznych kolców podczas chłosty.

Rzucił jej kilka pytań nadarmo. Milczała. Zaczął sypać jakieś groźby, lecz kiedy go zmierzyła spojrzeniem pełnem godności z głębi swych tajemniczych oczu, zachłysnął się i zamilkł. Rzucił jeszcze wzrokiem na figurkę Maryi i wybiegł za drzwi.

Sprowadził po kwadransie kilkoro ludzi i zapytywał, czy nie znają tych czworga nowych przybyszów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Bodaj raz w ciągu wakacyi, które już się kończą, trzeba sobie użyć na polityce, która obecnie stanęła na pewnego rodzaju martwym punkcie, prawdopodobnie również ze względu na sezon kanikularny, do politykowania się zupełnie nie nadający.

Najważniejszemi wydarzeniami politycznemi ubiegłego tygodnia było spotkanie Poincarego z Lloydem Georgem w Londynie i konfencya krakowskich masarzy i rzeźników z prezydum naszego miasta, które zastępował wiceprezydent Sare.

Panowie Poincare i Lloyd George nie doszli do porozumienia, rozchodziło się bowiem o Niemcy, od których Francya wymaga spełnienia przyjętych przez nich zobowiązań, Anglia zaś w szczególności zaś Lloyd George, pragnie poczynić im jak najdalej idące ułatwienia, mające sprawę odszkodowań wojennych odsunąć na czas dłuższy, jeśli jej wogóle nie zaprzepaścić Francyi nie można się dziwić, że upomina się o to, co jej przyznano, jest bowiem w położeniu finansowem niezbyt pomyślnem, a wierzyciele, między nimi i Anglią upominają się o zwrot swych należytości. W Londynie gadano dużo i dość głośno, ale rezultat z tego był taki, że delegaci francuscy nie mogli się zgodzić na propozycye angielskie, a Anglicy, nawzajem nie myśleli o uwzględnieniu słusznych zresztą żądań francuskich, wobec tego rozjechano się, powiedziawszy sobie na pożegnanie, że kwestya odszkodowań to nie zając, zatem nie ucieknie, a skoro obecnie nie można było dojść do porozumienia, osiągnie się je może za miesiąc, za dwa. Odbyło się już tyle rozmaitego rodzaju konferencyi i zjazdów, przeważnie bez żadnego rezultatu, iż nie zaszkodzi, jeśli będzie ich jeszcze kilka lub kilkanaście.

Najlepiej na tem wychodzą Niemcy. W myśl przysłowia, że, gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta, one nie zasypiają sprawy, jęczą głośno, że są pokrzywdzone i skazane na kij żebraczy, równocześnie jednak pchają się gwałtem na Wschód, co im się najzupełniej udaje. Staraniem mocarstw sprzymierzonych było, aby Niemcy raz na zawsze unieszkodliwić, tymczasem chwiejna ich polityka doprowadziła do do tego, że Niemcy dzisiaj są pewni siebie, udało się im bowiem ugruntować poważnie swe wpływy w Rosyi, a ten stosunek obu nowych przyjaciół daje im prawie pewne gwarancye powetowania sobie wszystkich szkód wojennych.

Sprawozdanie Radka Sobelsona, wygłoszone wobec moskiewskiego Komitetu Wykonawczego, a powtórzone przez nasze pisma, stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że Niemcy w Sowdepii rządzą się już jak u siebie w domu, a koncesye, jakie od rządu bolszewickiego otrzymali, są tak poważne, iż pozazdrościć im mogą wszyscy ci, którzy ubiegali się o zdobycie sobie wpływów w Europie wschodniej. Pokazało się, że dyplomacya niemiecka i rosyjska rozumieją się najlepiej na rzeczy, gdy bowiem wszystkie inne tylko dużo gadają, one dużo robią, a wielcy politycy Europy zachodniej, widząc, co się dzieje, wstydzą się przyznać, że to właściwie ich dzieło i następstwo ich krótkowzrocznej polityki, obliczonej tylko na własne korzyści z pominięciem swych najbliższych sprzymierzeńców. To samolubstwo mści się już dzisiaj na Europie, daj Boże, aby w najbliższym czasie nie dało się jej odczuć w sposób jeszcze bardziej dotkliwy.

Zdaje się że niema w Europie i wogóle na świecie państwa, które życzyłoby sobie wybuchu nowej wojny, z wyjątkiem oczywiście Niemiec i Rosyi, czujących się coraz bardziej na siłach, że wspólnym wysiłkiem uda się im stawić czoło reszcie świata, przeciw nim się zwracającego. Zachęca je do tego zgoda, podyktowana wspólnością interesów, gdy natomiast w obozie przeciwników zrozumienia swych interesów nie widać, a chaos staje się coraz większy. Lloyd George ma podobno zamiar wydać swe pamiętniki, zrobiłby zatem dobrze, gdyby się odsunął od polityki, a poświęcił całkowicie literaturze. Niemcy straciliby wprawdzie głównego swego poplecznika, sprawa światowego pokoju posunęłaby się jednak poważnie naprzód.

Zjazd londyński skończył się zatem podobnie, jak konferencya w Genui, a następnie w Hadze, termin następnego nie został jeszcze ustalony ani miejsce, gdzie się ma odbyć, co do programu samego zaś, to pozostanie on nie zmieniony. Francya będzie obstawać przy tem, aby wypełnione zostały postanowienia traktatu Wersalskiego, Anglia i Włochy będą za przyznaniem Niemcom dalszych udogodnień, ci zaś będą się w dalszym ciągu śmiać w kułak i robić, co uważają dla siebie za korzystne.

Konferencya krakowskich masarzy i rzeźników z wiceprezydentem Sare miała natomiast wynik dodatni, ale dla tych pierwszych, nie dla ogółu ludności, udało się im bowiem uzyskać nową zwyżkę cen, a masarnie i jatki, które przez kilka dni zamknęły swe podwoje, rozwarły je nareszcie ku uciesze naszych żołądków a utrapieniu kieszeni. W poprzedniej kronice narzekaliśmy już na niesłychaną drożyznę świńskich delikatesów, powtarzać tego zatem nie będziemy, ograniczymy się jedynie na wyrażenia ubolewania, że tę „trefną sprawę" oddano w koszerne ręce. Nie uchybiając zupełnie p. wiceprezydentowi Saremu, znanemu dobrze ze swej obywatelskiej działalności, której już tyle złożył dowodów, uważamy za nietakt ze strony tych, którzy jego właśnie do pertraktacyi z masarzami wysunęli, iż sprawy tej nie oddano w inne ręce, choćby tylko ze względów rytualnych. Ale trudno, skoro właściwy ojciec miasta bawi się w Warszawie „w języczek u politycznej wagi", wiceprezydent Rolle jest specyalistą od teatru, spirytusu i ceramiki, wiceprezydent Wielgus zaś związany jest zbyt blisko z tymi, którzy sprzedając ćwierć funta kiełbasy polędwicowej za dwieście sześćdziesiąt marek, narzekają jeszcze, że dokładają do tego interesu. Do pertraktacyi nadawał się w tym wypadku specyalnie czwarty wiceprezydent, dr. Bobrowski, już choćby dlatego, jako urzędowy przedstawiciel uciśnionego proletaryatu, mógł znaleźć pole do popisu w jego obronie.

W tych warunkach gdy kiełbasa tak gwałtownie podrożała, poprostu nie wyobrażamy sobie nawet rozpoczęcia intenzywniejszej agitacyi wyborczej i dlatego z wielką radością wyczytaliśmy w telegramach z Warszawy, że prezydent Nowak stara się o przesunięcie terminu wyborów na czas późniejszy. Niestety, dobre jego chęci ułatwienia pracy kandydatom spełzły na niczem, gdyż konwent seniorów sprzeciwił się temu projektowi.

Z jakiego jednak powodu podrożało pieczywo, gdy ceny zboża spadły, na to odpowiedzieć mogliby chyba sami panowie piekarze, podobnie jak masarze i rzeźnicy zaokrąglający coraz bardziej swe brzuszki i wypychający kasy i portfele markami. I oni trzymają się tej samej taktyki, co pracownicy z pod znaku toporu, t. j. że narzekają na ciężkie losy, w samej rzeczy dla nich ciężkie, gdyż przynoszą im ciężkie zyski. Pierwsi i drudzy, t. j. rzeźnicy i piekarze działają jednak tylko dla dobra społeczeństwa, chcąc je powoli przyzwyczaić do tych warunków, w jakich mogłoby się znaleźć gdyby u nas udało się bolszewizmowi zapuścić silniejsze korzenie. W Rosyi kilogram chleba kosztuje przecież tysiące rubli, a mięsem raczą się tylko ci, którym zmarł ktoś z pośród rodziny, gdyż wołowinę, cielęcinę lub wieprzowinę kupuje się tam na wagę złota. Przyzwyczajanie nas powolne do wysokich cen jest zatem tylko obywatelskim czynem, za który tym panom należą się jedynie słowa uznania.

Polityka wewnętrzna nasza, skupiająca się w Warszawie, obecnie również zeszła na drugi plan. Nowy gabinet wraz z swoim prezydentem przygotowuje się do przeprowadzenia wyborów, a posłowie rozpoczęli wakacye, niema zatem powodów do kłótni przed forum publicznem, prywatne bowiem podstawianie sobie nogi bynajmniej nie ustało, ogranicza się jednak jedynie do kampanii dziennikarskiej, a i ta skutkiem kanikuły nieco osłabła.

Rozgrywa się przecież w Warszawie jeden z najważniejszych aktów naszej wewnętrznej polityki, mianowicie załatwienie sprawy stosunku byłej Galicyi do Polski, co musi być przed rozpoczęciem akcyi wyborczej definitywnie załatwione, gdyż w tej części kraju naszego w pojęciu reszty Europy nie jesteśmy jeszcze panami, jedynie chwilowymi okupantami, których pan Petruszewicz radby ztamtąd pozbyć się jak najprędzej, aby módz zrealizować raz nareszcie problem Zachodniej Ukrainy, popierany nie tylko przez Anglię i Niemcy, ale także i przez naszych „przyjaciół" Czechów, po cichu zaś i Rosyę bolszewicką, mającą nadzieję, że uda się jej połknąć także i ten kawałek ziemi, a pana Petruszewicza puści potem z kwitkiem.

Kwestya Wschodniej Małopolski budzi w naszem społeczeństwie poważne obawy, a przyczynia się do tego w głównej mierze powołanie na przewodniczącego komisyi, zajmującej się tą sprawą, byłego namiestnika Galicyi dr. Bobrzyńskiego, wielkiego przyjaciela byłych c. k. Ukraińców, których za czasów swoich rządów stale i energicznie forytował ze szkodą dla żywiołu polskiego na tym obszarze.

Wybór dra Bobrzyńskiego na przewodniczącego Komisyi rzeczoznawczów dla sprawy Wschodniej Małopolski uważać zatem należy za niefortunny z wyżej wspomnianych względów, choć z drugiej strony przyznać trzeba, że kwestyę ruską zna on chyba dobrze. Zależy teraz od niego samego, czy okaże się naprawdę bezstronnym, czy też zechce się w dalszym ciągu zapatrywać na nią przez dawne c. k. austryackie okulary, które mu sympatyi w społeczeństwie polskiem bynajmniej nie przysporzyły. Miejmy jednak nadzieję, że z chwilą, gdy dawna cesarska Austrya zeszła do grobu i były namiestnik pozbył się swej dawnej urzędowej skóry.

Drugim powodem niepokoju o to, jaki tok wezmą obrady jest kwestya, jak podczas nich, a następnie na plenum sejmowem zachowają się zwalczające się stronnictwa, czy nie zechcą skorzystać z nadarzającej się sposobności i rozpocząć na nowo przeciw sobie ofenzywę. Na tem sama sprawa wyszłaby najgorzej, co bowiem endek uzna za białe, to w oczach ludowca jest czarniejsze od smoły i odwrotnie.

A tak jedni, jak i drudzy na byłą Galicyę wschodnią zwracają bardzo pilną uwagę, endecy oddawna, ludowcy, jak to niedawno wspominaliśmy, dopiero teraz, z okazyi zbliżających się wyborów.

Przypuśćmy jednak, że wszystko pójdzie po naszej myśli, t. j., że obawy co do osoby przewodniczącego Komisyi okażą się nieuzasadnionemi, a stronnictwa oświeci nareszcie Duch Święty i nie pozwoli im, aby zaprzepaścili najżywotniejszą dla kraju sprawę, że Sejm, który ma się zebrać we wrześniu uchwały Komisyi przyjmie, co jednak powiedzą nasi zagraniczni opiekunowie, w szczególności zaś Anglia, wtrącająca wszędzie swe trzy grosze i stosująca zupełnie inną miarę nawet i do swych przyjaciół, niż do siebie? Petruszewycz i metropolita Szeptycki rozwinęli silną agitacyę za granicą a spotkała się ona tu i ówdzie z bardzo przychylnem przyjęciem, protektorom Zachodniej Ukrainy pachnie bowiem borysławska nafta. Minister Narutowicz ma wprawdzie wyjechać za granicę aby rządy koalicyjne pozyskać dla nas, czy mu się to jednak uda, to pytanie. Nawet nasi najbliżsi sąsiedzi, Czesi, których pan Piltz tak kokietuje, więcej sympatyi okazują dla problemu samodzielnej Zachodniej Ukrainy, niż dla przyznania jej Polsce, pan Petruszewycz ma u nich nawet gotowy zupełnie zaczątek swej narodowej armii pod postacią brygady ukraińskiej, pozostającej dotąd na utrzymaniu zaprzyjaźnionego z nami rządu czeskiego. Z pretendentem do tronu Ukraińskiego, Wasylem Wyszywanym, synem żywieckiego piwowara, można się nie liczyć, jest to bowiem raczej operetkowa kandydatura, choć i takie w czasach niespodzianek mogą liczyć na powodzenie.

W połowie Września dowiemy się, co postanowiła Komisya rzeczoznawców dla Ukrainy, jak jej uchwały przyjął Sejm warszawski i co na to zagranica, co się bowiem tyczy samych ukraińskich polityków z pod znaku Petruszewycza, tych nie zadowolą najdalej nawet idące ustępstwa na rzecz Rusinów, gdyż oni chcą mieć swoje własne państwo, bo tak nauczyli ich Niemcy i Austryacy.

dzo piękna i pożyteczna, bo w Wielkopolsce mało kto zna olbrzymie w tej dziedzinie bogactwa naszej dzielnicy. Niestety w organizacyi wycieczki były widocznie jakieś błędy, bo mimo dogodnych warunków i zachęcających odezw grono uczestników wycieczki było dość nieliczne.

Lekarze poznańscy zwiedzili kolejno szereg najpiękniejszych małopolskich uzdrowisk, więc Zakopane, Rabkę, Iwonicz, Szczawnicę, Żegiestów, Krynicę i td. — Prowadził wycieczkę dyrektor urzędu zdrowia, dr. Szczepan Mikołajski.

Illustracya nasza przedstawia grono uczestników wycieczki w Żegiestowie-Zdroju.

Przy tej sposobności warto zaznaczyć, że tegoroczny sezon w Żegiestowie dopisał pod każdym względem, tak co do pogody, jak i napływu kuracyuszów, których, podobnie jak do innych krajowych zdrojowisk zjechało się tutaj więcej niż po inne lata.



Lekarze poznańscy w uzdrowiskach Małopolski: Wycieczka lekarzy poznańskich w Żegiestowie: 1). Lekarz Zakładowy dr. B. Kwaśniewski ze Lwowa. 2). Dr. Szczepan Mikołajski, dyr. Urzędu Zdrowia. 3). Właściciel Żegiestowa p. Krukierek. 4). Dyr. Zakładu mec. dr. Urban z Krakowa.



Współudział Ameryki w odbudowie Francyi: Przewodnicząca amerykańskiej „Dobrej Woli" p. Dike i jej zastępczyni, niestrudzona p. Anna Morgan.

Żegiestów jest nie tylko pierwszorzędnem zdrojowiskiem, lecz także miejscem klimatycznem nadzwyczaj korzystnie oddziałującem na zdrowie, jego zaciszne położenie nadaje się zajzupełniej na miejsce wypoczynku dla osób potrzebujących spokoju i świeżego powietrza. Jedną z atrakcyi Żegiestowa dla letników są kąpiele w Popradzie.



Współudział Ameryki w odbudowie Francyi: Jeden z samochodów amerykańskiej delegacyi „Dobrej Woli", przybyłej do Paryża w dniu 2. sierpnia b. r.



Współudział Ameryki w odbudowie Francyi: Powitanie amerykańskiej delegacyi „Dobrej Woli" w jednej z miejscowości obszaru zniszczonego wojną.

Na jedno tylko narzekają obecnie odwiedzający Żegiestów, mianowicie na utrudnienie w odbywaniu wycieczek na dawną stronę węgierską, to jest lewy brzeg Popradu, dawniej bardzo uczęszczany. Od chwili, gdy sąsiadujemy już nie z Węgrami, lecz z Czechosłowacyą, turyści narażeni są na najrozmaitsze szykany ze strony granicznych władz czeskich, które starają się im utrudnić zwiedzenie tych pięknych okolic. To też wycieczki za Poprad, których dawniej głównym celem był zwykle Bardyów lub znana z dziejów Lubowla z ruinami swego wspaniałego niegdyś zamku książąt Lubomirskich, należą dziś do rzadkości.

Podobnie jak i wszędzie w naszym kraju i Żegiestowi drożyzna daje się we znaki niewiele przecież robią sobie z niej ci, którzy tu zjechali na letnie wywczasy z należycie wypełnionymi pugilaresami. Oni sami w czasie pobytu wakacyjnego zyskują na wadze, ich portfele tracą na objętości.

Jak słychać nowi właściciele Żegiestowa przygotowują na najbliższy czas przeprowadzenie na szeroką skalę obmyślanych inwestycyi, mających postawić zdrojowisko na stopie należącej się mu już oddawna.

Współudział Ameryki w odbudowie Francyi.

Społeczeństwo amerykańskie wzięło żywy udział w odbudowie zniszczonych najbardziej wojną okolic Francyi. Od pięciu lat czynny jest we Francyi

amerykański komitet, którego prezesową jest p. Dike, a wiceprezesową p. Morgan. Zadaniem tej instytucyi jest moralne i materyalne popieranie celów odbudowy, dwieście dwadzieścia miejscowości, najbardziej zniszczonych, zawdzięcza jej swą odbudowę, a dalsza akcya w tym kierunku postępuje naprzód w całej pełni. P. Morgan urządziła w Stanach Zjednoczonych szereg publicznych zgromadzeń, na których zachęcała swych rodaków do spieszenia Francuzom z wydatną pomocą.

W związku z tą akcyą przybyło w dniu 2 sierpnia b. r. do Paryża drogą na Havre z Ameryki około sto delegatek stowarzyszenia „Dobrej Woli" *(Good Will Delegation)*, wysłanych przez amerykańskie dzienniki, aby stan zniszczenia Francyi i postępy odbudowy zbadały na miejscu i składały z swych spostrzeżeń dokładne sprawozdania. We Francyi przyjęto je entuzyastycznie, nazywając „dobremi misyonarkami", one nawzajem już w pierwszych swych korespondencyach do pism amerykańskich wyraziły wielką sympatyę dla narodu, który w ciągu ostatniej wojny tak wiele ucierpiał. W czasie swego pobytu we Francyi mają zwiedzić przedewszystkiem cały ostatni front wojenny, pozatem Normandyę i Bretanię i oczywiście Paryż.



Największa stacya radiotelegraficzna świata: Otwarta w bieżącym miesiącu francuska stacya radiotelegraficzna w Sainte Assise obok Melun.

Szkoła zawodowa lwowskich fryzyerów

Z dniem 3 czerwca b. r. Stowarzyszenie przemysłowe fryzyerów uruchomiło we Lwowie Szkołę zawodową fryzyerską dla młodzieży, kształcącej się w zawodzie fryzyerskim i przystąpiło do urządzania szeregu kursów fryzyerstwa męskiego i damskiego, obejmujących naukę ondulacyi, manikury i fryzyerstwa teatralnego.

Pomimo wielkich wkładów pieniężnych, jakich urządzenia podobne w czasach dzisiejszych wymagają, zasłużony przełożony Stowarzyszenia przemysłowego fryzyerów, p. Jakób Gottfried, nie odstąpił ani. na chwilę od urzeczywistnienia swego planu i z całą energią pracował nad doprowadzeniem dzieła do skutku. Należy mu się całkiem słusznie uznanie za jego trudy i pracę położoną w tym kierunku.

Jak potrzebne były te usiłowania świadczy najlepiej ilość uczestników i tak szkoła liczy ich 92, a kursy 165.

Trudy zostały częściowo uznane. Prezydent Izby handlowej i przemysłowej lwowskiej, p. Leopold Baczewski, doceniając doniosłość tego przedsięwzięcia, oddał Stowarzyszeniu bezpłatnie lokal na pomieszczenie tych urządzeń w Instytucie Technologicznym i wyjednał, że Izba udzieliła Stowarzyszeniu subwencyi w wysokości 30.000 Mkp., również i Kuratorya Okręgu Szkolnego Lwowskiego przyznała Stowarzyszeniu zwrot 1/3 ogólnych wydatków.

Wielkie zasługi w prowadzeniu kursów położyli między innymi p. p. Tasch, mistrz fryzyerski i profesor Szkoły wyższej fryzyerskiej w Wiedniu, Prenewender i Czerwiński, którzy z całym zaparciem oddali się zadaniu.

Około zaś Szkoły zasłużył się poważany i ceniony w gronie kolegów p. Suzdalewicz, zastępca przełożonego Stowarzyszenia przemysłowego fryzyerów we Lwowie, który wolne chwile od zajęcia oddał zupełnie kierownictwu Szkoły. Jego też jest zasługą, że młodzież poświęcająca się zawodowi fryzyerskiemu nabrała obyczajów, jakimi nie tak łatwo mogą się poszczycić inne zawody

Największa stacya radiotelegraficzna świata

Telegrafowanie bez drutu zaczyna coraz bardziej wypierać dawny system, który niedługo należeć będzie do przeżytków. Wielkie stacye iskrowe istnieją na całym świecie w liczbie 52, z tego 12 w Stanach Zjednoczonych, 5 we Francyi, 4 w Anglii, 3 w Niemczech, po 2 we Włoszech, Chinach, Japonii, na wyspach Hawajskich i w Panamie, po jednej w Norwegii, Szwecyi, Rosyi, Holandyi, Meksyku i Jawie. Afryka posiada 5 stacyi, Australia 4.

W początkach bieżącego miesiąca otwarto we Francyi, Sainte-Assise nieopodal Melun, w dolinie Sekwany, nową stacyę, najsilniejszą nie tylko z francuskich, lecz i światowych. Przed kilku miesiącami powołano do życia stacyę iskrową w Croix d'Hins, koło Bordeaux, uważaną za największą w świecie, nowa, w Sainte-Assise, jest od niej czterokrotnie sprawniejsza, trzydzieści pięć razy zaś od stacyi, pomieszczonej na wieży Eiffla w Paryżu.

W malowniczej okolicy, tuż obok starożytnego zameczku i otaczającego go parku wznosi się szesnaście potężnych masztów, każdy o 250 m. wysokości, między nimi rozpościera się delikatna siatka, ledwie dla oka dostrzegalna, o długości trzech kilometrów, a szerokości czterystu metrów, o ogólnej rozpiętości zatem stu dwudziestu hektarów. Nowa stacya zaopatrzona jest we wszystkie najnowsze ulepszenia i tak urządzona, że może wysyłać trzydzieści tysięcy wyrazów na godzinę. Gló-



Szkoła zawodowa lwowskich fryzyerów: Uczestnicy Kursu czeladników fryzyerskich wraz z nauczycielami i przełożeństwem Stowarzyszenia. Fot. M. Münz, Lwów.

wniem jej przeznaczeniem jest utrzymanie połączenia iskrowego z Ameryką.

Z okazyi otwarcia tej stacyi prezydent Millerand wysłał do prezydenta Hardinga serdeczny telegram, w którym donosi, że pierwszą wiadomość z nowej stacyi wysyła do Stanów Zjednoczonych, aby zadokumentować, że każdy dzień pogłębia przyjazne stosunki między Francyą a Stanami Zjednoczonymi.

Pod względem nowoczesnych urządzeń, służących do porozumiewania się na odległość, zajmuje Francya, dzięki energicznym staraniom rządu w tym kierunku, pierwszorzędne w świecie stanowisko, rozporządzając najsilniejszemi stacyami telegrafu iskrowego i siecią kablową, dozwalającą jej na bezpośrednie porozumiewanie się ze wszystkiemi częściami kuli ziemskiej. Postępy, jakie w ostatnich dziesiątkach lat w tej dziedzinie uczyniono, mają przedewszystkiem dla handlu i przemysłu nieocenione wprost znaczenie, a są one realizacyą owych fantastycznych pomysłów, które pół wieku temu jeszcze wstecz wydawały się ludzkości wprost nie do osiągnięcia. Verné, pisząc swe powieści, ani przypuszczał, że już w początkach następnego wieku niektóre z nich urzeczywistnią się w najpełniejszem tego słowa znaczeniu.

Nowa gwiazda polskiej Opery.

W poczet znakomitych tenorów polskich, obok artystów tej miary, co Dygas i Gruszczyński, staje młody i wysoce utalentowany Krakowianin, p. Stanisław Drabik, którego gościnne występy na scenie Teatru im. Słowackiego, zajętej obecnie na sezon letni przez „Towarzystwo Operowe“, wywarły duże zainteresowanie wśród krakowskiej publiczności, umiejącej odczuć rzetelny talent, a spieszącej tłumnie, by wypełnić widownię, ilekroć tylko afisz operowy podaje nazwisko młodego artysty. Kwiecie znoszą młodocianemu artyście słuchacze, zaś teatr drży od oklasków po każdej aryi, a niejednokrotnie i przy otwartej scenie.

Młodego artystę zaangażował przed trzema laty znany kapelmistrz dyr. Adam Dołżycki do świeżo organizującego się zespołu Opery poznańskiej, wprost z ławy szkolnej, doskonałej uczelni prof. St. Bursy, wytrawnego pedagoga-wokalisty. Młodemu śpiewakowi poruczono zakres partyi repertuaru lirycznego. Dziewiętnastoletni, skromny (pozostał nim w życiu codziennem i do dnia dzisiejszego) adept sztuki śpiewaczej już w ciągu kilku pierwszych miesięcy swej pracy scenicznej wybił się na plan pierwszy zespołu, doskonale (wyrażając się terminem teatralnym) „postawionemi“ partyami w obu operach Moniuszki, „Strasznym dworze“ i „Halce“, wykazując nie tylko bogaty materyał tenoru lirycznego o srebrzystym dźwięku, pełnym ciepła i bogactwa barw, a uformowanym przez prof. Bursę (u którego początki nauki pobierali także Didur i Majerski), lecz także nieprzeciętną muzykalność i talent aktorski.

Z tymi warunkami młody śpiewak sięgnął i po dalsze partye swego zakresu, zjednując sobie w ciągu trzyletniej pracy estymę oraz sympatyę publiczności i uznanie prasy poznańskiej, stawiającej śpiewakom niejednokrotnie nader wygórowane wymagania. Za świetnie śpiewanemi partyami Jontka („Halka“), Turrida („Cavalleria“), Cania („Pajace“) poszły postacie bohaterów operowych trudniejszej kategoryi, a to: Rudolfa („Cyganerya“), Cavaradossiego („Toska“), Alfreda („Traviata“), Pinkertona („Mad. Butterfly“), Almavivy („Cyrulik“), Leńskiego („Onegin) i wiele innych.



Nowa gwiazda polskiej Opery: Stanisław Drabik, tenor Opery poznańskiej.

Król Alfons XIII. jako turysta.

Król hiszpański, Alfons XIII., należy do nielicznych obecnie, ale najpopularniejszych władców Europy. Surowymi przepisami średniowiecznej etykiety, obowiązującej dotąd na dworze hiszpańskim, nie krępuje się bynajmniej poza murami swej rezydencyi i to mu zyskuje sympatye ludności nawet w kraju, tak rewolucyjnie usposobionym, jak Hiszpania, będąca od lat głównem środowiskiem wszelkiego rodzaju anarchistów.

Losami swojego kraju i ludności zajmuje się bardzo gorliwie, a ostatnio dał temu wyraz, urządzając wycieczkę w najuboższe i najdziksze okolice Hiszpanii, w pasmo gór Sierra de Gata, rozciągające się na zachód od Madrytu wzdłuż granicy portugalskiej. Przybył tutaj nie z królewskim orszakiem, lecz jak przeciętny turysta, w nielicznem tylko towarzystwie, chcąc poznać te najmniej znane w Hiszpanii okolice i ich mieszkańców, zetknąć się z nimi osobiście i z ich własnych ust usłyszeć, z jaką pomocą możnaby im pospieszyć.



Król Alfons XIII. jako turysta: Król Alfons w drodze do Las Hurdes.

To, co tutaj ujrzał, przeszło jego oczekiwania i nagrodziło sowicie trudy uciążliwej podróży. W niedostępnej, dzikiej, pozbawionej prawie roślinności okolicy Las Hurdes, której całą ozdobą są strome wierzchołki górskie i nieliczne karłowate drzewa, gdzie zjawienie się przybysza z dolin jest wydarzeniem dnia, o którem wspomina się nieraz lata całe, natknął się król na ludność, zwyczajami swymi i życiem cofniętą wstecz o całe wieki. Zamieszkuje ona nędzne sadyby, często wykute w skale lub sklecone z kamieni i suchej ziemi, zachowała prostotę obyczajów i starodawne stroje, posługuje się językiem czystym, nie skażonym obcemi naleciałościami. Dla przybysza, który się tutaj przypadkiem znalazł, widok to niezwykły, odnosi on wrażenie, jakoby miał przed sobą Hiszpanów z przed lat kilkaset, ubogich do ostateczności, ale zadowolonych ze swego losu.

Czego ludzie nie robią dla kawałka chleba.

W pogoni za sensacyą, światowy rekord, dotychczas nie pobity, zdobył sobie bezsprzecznie słynny Barnum, który po obu półkulach obwoził wszystko to, co oznaczało się jakąś oryginalnością lub dziwacznością i robił na tem doskonałe interesy. Pamiętamy dobrze, co się działo w Krakowie przed laty, gdy namioty swoje rozbił na naszych Błoniach. Choć była to znikoma zaledwie cząstka jego przedsiębiorstwa, każdy Krakowianin uważał dla siebie za punkt honoru widzieć to wszystko na swoje własne oczy, by módz potem chwalić się przez lata całe, na jakie on to patrzył cudy. Trzeba przyznać, że Barnum umiał wyszukiwać osobliwości i reklamował je w prawdziwie amerykański sposób.

A jednak dziś, po dość niewielu latach, ten i ów, wspominając owe Barnumowskie cudowności, kiwa z politowaniem głową, mając przed oczyma taką illustracyę, jak obok zamieszczona, przedstawiająca produkcye amerykańskiego „artysty“, kinowego Monty Banksa, wobec których tamte popisy schodzą na drugi, a może i trzeci plan, mogąc stanowić atrakcyę dla jakiegoś prowincyonalnego cyrku, objeżdżającego nasze powiatowe miasteczka. Barnumowi dał radę kinematograf, zabierając dla siebie wszystko, co najciekawsze.

Otóż widzimy na tej illustracyi owego „artystę“ kinowego, zawieszonego na rękach u wiązań podtrzymujących okap dachowy na kilkunastopiętrowym drapaczu chmur i przerzucającego się z jednego na drugie, podczas gdy z przeciwnej strony ulicy aparat kinowy chwyta na film jego ruchy, aby je potem w setkach egzemplarzy roznieść po całym świecie i unaocznić najszerszym sferom. Wystarczy jeden fałszywy chwyt, a „artysta“ runie w dół z kilkudziesięciometrowej wysokości i w ten prozaiczny sposób zakończy swą karyerę.



Czego ludzie nie robią dla kawałka chleba: Amerykański „artysta“ kinowy, Monty Banks, podczas swych karkołomnych produkcyi dla aparatu kinowego.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Kalinowski, Zakopane.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół poda nazwę miejscowości, mogącej się stać łatwo zarzewiem nowych światowych niepokojów.

■
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— ■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w południowej Rosyi. 3. Mityczna postać z dziejów Polski 4 Polski pamiętnikarz, 5 Znany reformator, 6 Część tulipanu, 7. Sport zimowy, 8 Polski polityk współczesny, 9 Wehikuł 10. Miasto w Galicyi środkowej, 11 Narzędzie rolnicze 12 Roślina, służąca jako przyprawa, 13 Pierwiastek. 14. Spółgłoska.

Zgłoskówka.

Ułożył F Baran, Łódź.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę, a podadzą nam one zdarzenie polityczne z ostatnich dni

Kołomyja Połaniec,
Przemyśl, Sidorów, Leszno, Gdynia

Trójkąt magiczny

ułożył J. Wójcik, Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę znanej u nas organizacyi militarnej.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Imię męskie w Polsce bardzo popularne 3 Herb polski, 4 Szlachetny kruszec. 5. Postać biblijna, 6. Roślina bardzo pożyteczna, 7. Obce wyrażenie na oznaczenie „były“, 8. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożyła Hela z Poronina.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a k ł ł
n o o o
o p r r

Znaczenie wyrazów: 1) Figura geometryczna, 2 Mgła nad wilgotnem miejscem, 3) Starosłowiańska bogini, 4) Kolonia francuska

Okienko.

Ułożył Letnik w R bce.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a a a a a
a a o
k n n n o
o r r
r t t u w

Znaczenie wyrazów: 1) Osobistość, o której się dziś u nas wiele mówi, 2) Słynne pobojowisko na Bałkanie, 3 Rodzaj zabezpieczenia.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył W. Leśniewski, Tarnopol.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwę obecnej pory.

— o t
S — n
D o —
l — s
— q s
b — k
m u —
J — n

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego: „Pod Czerwonym Wirchem“ (powieść); 2) Kalendarz kieszonkowy z notatnikiem na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr 28

Grzebieniówka: Como, z Iran. c, Zola, e rota, i, Numa

Zadanie do uzupełnienia: Szwab, Tekla. Erast. Ferro. augur. Nancy.

Logogryf: P era, Kazań, kreda, Pasek, glina, palma, Kreta, tango, gil, e.

Okienko. Genua, Namur, adres.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Ościsło Włocławek, H. Boratyńska Poznań, M. Hanecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, M. Stachowicz Kraków, P. Lachmanówna Lwów. W. Krzemień Wilno, S. Dąbrowski Grudziądz, J. Cholewiński Tarnopol Z. Koniecpolski Łódź, L. Winter Kraków, A. Palatzka, Lwów, L. Policzyński Rembertów. J. Piotrowski Lwów, A. Rusinko Stanisławów, M. Motylewski Kutno. C. Kozłowski Warszawa, M. ubicówna Kraków. M Stachowicz Kraków, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa. J. Benedyktowicz Kraków. H Rakowiecka Zakopane. W. Komerdowa Lwów. D Lipeż Piątkowa, J. Skowroński Tłumacz, W. Dudek Bydgoszcz. W. Smiszkiewicz Milówka, B. Eriel Rzeszów, J. Cercha Miechów, B. Szypulska Wieliczka, St. Müller Warszawa, B. Stypa Maków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Oślisło, Włocławek (powieść; 2) B. Stypa Maków (kalendarz). - Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 70 mk

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego z kładu Druk. D. E. Friedleina pod zarz St. Kowalskiego